

TEATR WSPÓŁCZESNY



J. T.

MARJA MOROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA

KOREPETYTOR

FARSA W 1 AKCIE

ODZNACZONA 2-GĄ NAGRODĄ NA KONKURSIE
TEATRU NOWOCZESNEGO.

MARJA MOROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA.

KOREPETYTOR

FARSA W I AKCIE

ODZNACZONA 2-A NAGRODĄ NA KONKURSIE
TEATRU NOWOCZESNEGO.



[Handwritten signature in blue ink] 2505

WARSZAWA, 1914.

NAKŁADEM B. RUDZKIEGO.

O S O B Y:

PAN TYTUS: zawiadowca stacyi.

PANI AMELIA:

ANETKA:

NIUŃCIA: } ich dzieci.

FELIŚ: }

CIOCIA KLIMCIA:

PAN EUGENIUSZ:

KAZIMIERZ:

ANTEK:

SŁUŻĄCY ze stacyi.

STANISŁAWOWA.

Rzecz dzieje się na większej stacyi u zawiadowcy.

AKT JEDEN.

Na większej stacyi.—U zawiadowcy.—Pokój banalnie pretensjonalnie umeblowany. — Niby salon. — Fortepian klekot.—Oleodruki.—Palmy sztuczne pozatykane za lustra.—Serwetki szydełkowe na stolikach i kanapie.

W czasie akcji słysząc od czasu do czasu syrenały, gwizd, jak się to dzieje na stacyi. Za podniesieniem kartyny nikogo na scenie.

Po chwili słysząc za drzwiami energią przepełniony głos Amelii: „teraz portyery“.

Wchodzi Antek z drabiną—Amelja—Feliś.

AMELIA.

Amelia — osoba bardzo tęga i w kompletnym niezupełnie czystym i niezupełnie pięknym negliżu.

Antek z potarganym łbem i w obwisłych portkach.

Feliś 13 letni wyrostek skrofuliczny i stale dłubiący w nosie.

AMELIA DO ANTKA.

Postaw... za blisko gapiu!... rozdziab że, bo ci inaczej nie stanie... zabardzo... przecie nie o sufit idzie, ale o drzwi...

(Antek ustawił drabinę)

no gramol się...

Feliś portyery! nie dłub w nosie, wiele razy mówiłam... portyery...
No Walek masz tu haki, wal a mocno...
Idzie?

ANTEK.

Jak utknął, to ani rusz...

AMELIA.

Nie siap tak, powoli z rozmachem, nie tak byle zbyć,—mocniej! puść ja sama...

ANTEK.

Zara, zara, już się rusza.

AMELIA.

Puść ja sama...

ANTEK.

Już... już... zaczyna liść.

AMELIA.

Nie lubię niedołęgów — *(podchodzi energicznie do drabiny i ściąga Antka za portki).*
Głuchy trzask.

ANTEK.

O rety! *(łapie się za miejsce gdzie trzasnęło).*

AMELIA.

A widzisz niedojdo, pękły, a mówię zawsze przyszywaj mocno, już drugi raz to samo. *(Antek skonfundowany wychodzi).*

AMELIA (*u szczytu drabiny*).

Feliś! dawajno portyery — nie wlecz po ziemi, nie na to kupiło się nowe, żebyście zaraz krwawy mój pot poniszczyli... trzymaj jeszcze... tak... wyżej... zaraz... zaraz... (*pukanie do drzwi*) kto tam?

GŁOS: To ja pani dobrodziejko... Eugeniusz.

AMELIA.

A to pan? proszę, proszę, dobrze że pan przyszedł, to mi pan pomoże, tylko proszę się nie przyglądać mi zabardzo... bo to widzi pan, jak człowiek sam czego nie zrobi...

PAN EUGENIUSZ (*odświętny — w wyświeconym surducie — krawat biały — żółte rękawiczki — cylinder*).

Ja pani dobrodziejko chciałem w bardzo poważnej...

AMELIA.

To potem... to potem... teraz mi pan z łaski swojej podniesie całą portyerę wysoko, bo mi strasznie obciąga...

(*Pan Eugeniusz podniósł wraz z portyerą wzrok do góry i ujrzawszy wdzięczną postać na szczycie drabiny, copędzej opuszcza go wraz z portyerą*)

Co pan? co pan?

Aż chrupnęło... gwoździe wylecą... wlaży by pan na krzesło, e, z taką robotą — zresztą już obeszło się bez niczyjej pomocy... wisi... uff...

(schodzi z drabiny—obciera pot z czoła).

No, drogi panie, nie zatrzymuję pana, jak pan ma interes, to pan zajdzie potem—u nas dzisiaj trochę nieładu — śpieszę się, jak pan widzi jestem jeszcze w rannej toalecie...

PAN EUGENIUSZ.

No... to ja...

AMELIA.

Tak... tak... przyjdzie pan potem... dowidzenia... dowidzenia...

(bierze go za ramię—prawie wyrzuca z pokoju)
(Eugeniusz wyszedł).

Zawsze wlicie nie wpore (do Felisia).

Co tu stoisz? nie dłużej w nosie, mówię—
weź się do książek.

(Feliś zostaje, siada w kącie i niby się uczy)

wchodzi pan TYTUS.

Amelciu co ze śniadaniem—nic nie przygotowane...

AMELIA.

Nie rozedrę ci się —

PAN TYTUS.

Tak, ale...

AMELIA.

Bez żadnych alów, dusza ze mnie wychodzi, chodzę, latam, robię, pracuję, męcę... się, a tu jeszcze śniadanie!

Możesz się obejść bez śniadania, kiedy idzie o szczęście dziecka —

TYTUS.

Ameliczko, ja sędzę...

AMELIA.

O szczęście dziecka, powtarzam... Tobie w głowie tylko faramuszek... to, że dziewczyna wyjdzie zamąż mnie tylko ma do zawdzięczenia. —

TYTUS.

Przepraszam cię...

AMELIA.

Dziecko ma lat 29... taka edukacja i nic. Tata nie ma czasu pomyśleć, dopiero ja...

TYTUS.

Co ty?

AMELIA.

Jako co ja? to ja, że dziewczyna będzie miała ładnego, zdrowego, przystojnego męża... wyrobisz mu posadę na kolei.

TYTUS.

Komu?

AMELIA (*do Felisia*).

Nie dłużej w nosie... skarcanie boskie z tym chłopakiem.

Jakto komu? Jakto komu? który o 2.25 minut przyjeżdża.

Młodemu, przystojnemu, skromnemu chłopcu, który wchodzi do naszego domu jako profesor tego nicponia a wyjdzie zeń jako zięć nasz a mąż Anetki.

TYTUS.

Kto ci to powiedział?

AMELIA.

Kto? moja głowa... Zostaw mnie zresztą w spokoju, bo widzisz, że tu nie wszystko gotowe, a twój przyszły zięć przyjeżdża za godzinę i 20 minut.

TYTUS.

W imię Ojca i Syna... Boże przebacz im...

AMELIA.

Idź, proszę cię, pókim dobra...

TYTUS.

Śniadanie mi daj.

AMELIA.

Niema! Wszystko w domu zajęte, obejdz się raz.

TYTUS.

Co? obejść się... to ja 30 lat z rzędu dostaję śniadanie a dzisiaj...

AMELIA.

Dzisiaj nie dostaniesz, bo są w domu ważniejsze rzeczy niż śniadanie.

TYTUS.

A niech Was!... *(trzaskając drzwiami wychodzi)*.

(Amelia przez chwilę sprząta sama — z sąsiedniego pokoju dolatuje pełen rozpaczliwej wrzask, poczem wbiega z płaczem Anetka, trzymając się za czoło, — za nią ciocia Klimcia z dymiącym pełnym spalonych włosów żelazkiem).

ANETKA.

Mamo, ja dosyć mam tego przypiekania... ciocia mi czoło sparzyła... ajajaj...

CIOCIA KLIMCIA.

Boś nieuważna... mówię nie ruszaj głową... siadaj to dokończę. —

ANETKA.

Dosyć...

AMELIA.

Siadaj, mówię ci, co za niezdolna dziewczyna!...

ANETKA.

Boli...

AMELIA.

To się zapudruje...

ANETKA.

Ale widać...

AMELIA.

Zakryje się loczkiem. Moja Klimciu zostawiam ci dziecko... czuwaj nad jej toaletą, lecę do kuchni kręcić lody... *(wychodzi)*.

CIOCIA KLIMCIA.

Czego beczysz? oczy ci popuchną...

ANETKA.

Mam się z czego śmiać.

CIOCIA KLIMCIA.

Pewnie — każda panienska na twojem miejscu cieszyłaby się. Przełomowy dzień w twojem życiu...

ANETKA.

Rzeczywiście...

CIOCIA KLIMCIA.

Pewnie...

ANETKA.

Nie znam jeszcze tego pana, a ciocia opowiada.

CIOCIA KLIMCIA.

I my go nie znamy... ale informacje mamy najlepsze, — powinnaś u nóg leżeć twojej matce...

Bo właściwie korepetytor wcale niepo-
trzebny—wydatek tylko... ale twoja mama wi-
dząc, że tu nie ma żadnych widoków, a pa-
nienki dorastają, zrobiła ofiarę ze siebie i bę-
dzie się męczyć parę miesięcy, a od ciebie
zależy, żeby z tego dobry był skutek.

*(wpada Niuńcia, 15 letni podłotek, ubrana do
podróży).*

NIUŃCIA.

Już jestem gotowa proszę cioci...

ANETKA.

Dlaczego ciocia wywozi Niuńcię?...

CIOCIA KLIMCIA.

To już moja rzecz... no, głowa już goto-
wa, patrz co za cacko...

Teraz sukienka... zaraz przyniosę *(wy-
chodzi)*.

NIUŃCIA.

Fiu! fiu! co za dama...

ANETKA.

E, idź—czoło mi przypiekli...

NIUŃCIA.

No to co, jabym sobie wszystko dała
przypiec, żeby do mnie taki przystojny facet
przyjeżdżał. —

ANETKA.

Niuńcia, nie plec. —



NIUŃCIA.

Ale, nie pleć—niby to niewidziałam fotografii... wszyscy wiedzą, wywożą mnie, bom jest ładna, a ty stara panna, i jak mama powiada, żebym nie robiła tobie rywalizacyi.

ANETKA.

Niuńcia, smarkaczu.

NIUŃCIA.

Więc się boją... a jakże, bo wiedzą zresztą, że ja sobie dam radę na świecie, bo mam pieprza, jak mówi doktor, a ty jesteś wymokła wrona, mama to mówiła do taty, słyszałam.

ANETKA.

Niuńciu...

NIUŃCIA.

A ty myślisz, że ja się boję tego wywiezienia, ani trochę—tam jest bardzo przystojny, nauczyciel... już ja wam wszystkim spletałam figla.

Boś ty właściwie głupia—29 lat i taka ztwardziała w cnocie.

ANETKA.

Niuńka, czekaj, powiem ciotce.

NIUŃCIA.

Ciotka mnie lubi i w duchu przyznaje mi rację...

Oni mnie w gruncie rzeczy szanują, bo ze mną nie będzie tyle kłopotu, co z tobą...

Nietylko, że sama będę miała, ale i im jeszcze dam, aha—widzisz, a ty figę masz, figę dasz...

A ten twój brunet, co przyjeżdża ładny jest, musi być namiętny, ma takie wywinięte wargi, ale co ty się tam znasz...

Wątpię czy mu się podobasz, zresztą taka fujara, to nie potrafi złapać chłopca, ja to co innego...

ANETKA.

Ciociu! Niuńcia się zachowuje nieprzyzwoicie...

CIOCIA KLIMCIA (*wchodzi*).

E, dałybyście pokój z kłótniami, dziś nie czas na to... Niuńciu, zobacz czy mamy wszystko na drogę, za 15 minut pociąg odchodzi (*Niuńcia odchodzi*). No, kładź ostrożnie, bo się loki rozrzuca... bardzo ci do twarzy. Bądź tylko bardziej ożywiona, nie taka apatyczna... powinnaś zawsze nosić takie delikatne koloriki... ubierasz się wogóle niestarannie, więc co to dziwnego, że jak z kamienia z tym mężem.

ANETKA.

Ciocia myśli, że ta suknia co pomoże...

CIOCIA KLIMCIA.

Nie znasz mężczyzn, moje dziecko. Ja chwalić Boga 5 córek wydałam, to wiem jak się chodzi koło tego interesu.

ANETKA.

To nieładnie...

CIOCIA KLIMCIA.

Co nieładnie? Twoje panieństwo może ładne—psu na budę się zdało... A wyjście za mąż ujmuje rodzinie kłopotu, zapewnia ci byt, bo taki łajdak choćby się skreślił, musi żonę utrzymać.

ANETKA.

Ale żeby tak samo z siebie przyszło...

CIOCIA KLIMCIA.

Nic samo z siebie nie przychodzi... każda panna dobrze się musi napocić zanim męża znajdzie, a ty jesteś w tem szczęśliwym położeniu, że ci rodzina pomaga.

Tylko bez chimer, moja droga. I zapamiętaj sobie, co ci powiem.

Przy lekcyach asystuj, okazuj zawsze wielkie zainteresowanie. Najlepiej siedź zdaleka, w miarę jak będzie mówił przysuwaj się coraz bliżej — oczy miej wpatrzone bez przerwy w mówiącego, włosy zawsze uperfumowane. W chwili największego napięcia mówcy, upuść chusteczkę tak, żeby włosy twoje (perfum flakon zostawiłam w twoim pokoju) musnęły czoło lub usta ofiary. Potem jak będziesz widziała, że to robi wrażenie, dotknięcia powtarzaj, możliwie często na coraz bliższą metę. Aż doprowadź do tego, żeby młodzieniec cię pocałował, postaraj się, aby to trwało chwilę...

ANETKA.

Co też ciocia mówi...

CIOCIA KLIMCIA.

Nie co też, nie co też... to jest wypróbowany sposób i najpewniejszy... Zawsze pode drzwiemi ktoś będzie czuwał — w odpowiedniej chwili wejdzie i zobaczywszy was w tej czułej sytuacji pobłogosławi, czem zobowiąże niejako uwodziciela do małżeństwa.

ANETKA.

Oh, ciociu...

CIOCIA KLIMCIA.

To jest dobry środek, cztery córki tak zamaż wydałam. I są szczęśliwe. Jedną mąż bije, ale to trudno, w najpoważniejszej rodzinie się to zdarza. Zapamiętaj te rady, bo ostatnia twoja godzina wybiła, jak teraz nie wyjdiesz, to dudy w miech, zestarzeć się, nic nie pozostanie.

No, już jesteś gotowa. Uważaj, żebyś się nie pomyśla.

Przegraj sobie te nutki, tutaj jest parę ładnych kawałków, muzyka w takich wypadkach także pomaga bardzo.

Ale, paznokcie wyszlifuj — zostawiłam na stoliku dla ciebie...

(Dzwonek).

Kogo tam niesie?

(idzie otworzyć drzwi, — Anetka wychodzi — wraca z p. Eugeniuszem, który jest również jak przedtem, uroczysty).

Korepetytor. 2.

CIOCIA KLIMCIA.

A to pan?

PAN EUGENIUSZ.

Tak, to ja, pani Amelia kazała mi się pofatygować...

CIOCIA KLIMCIA.

Niewiem czy jest wolna, ale niech pan usiądzie sobie... (*idzie do drzwi*). Amelciu chodź, masz gościa...

(*Amelia wchodzi jeszcze w negliżu — głowa już uczesana*).

AMELIA.

A... szczęście pana, że lody już ukręciłam... ale czasu mam mało, więc proszę...

PAN EUGENIUSZ.

Ja pani dobrodziżko, w kwestyi, że tak powiem, wymagającej dyskrecyi...

AMELIA.

Aha, więc wyjdź Klimciu, a rzuć tam okiem na stół, czy nakryty przyzwoicie, nie mogę się rozedrzeć...

CIOCIA KLIMCIA.

Bądź spokojną (*wychodzi*).
(*Chwilka pauzy*).

PAN EUGENIUSZ.

Rzeczywiście pogoda dziś prześliczna.

AMELIA.

Pan przyszedł, żeby mi to powiedzieć...

PAN EUGENIUSZ.

Nie, to jest właściwie rzeczy biorąc, pani dobrodziko ja do pani dobrodziki, jako do osoby, znającej się na sprawach sercowych...

AMELIA.

Co pan przez to rozumie?

PAN EUGENIUSZ.

To... że kobieta prędzej rozumie mękę sercową.

AMELIA.

Źle pan trafił—ja tam żadnych mąk sercowych nie znałam, chwała Bogu uchroniłam się od tych głupstw. —

Całą swoją młodość poświęciłam mężowi i dzieciom...

PAN EUGENIUSZ.

Właśnie pani dobrodziko, która byłaś kapłanką domowego ogniska i sterałaś młode lata na usługach miłości...

AMELIA.

Co pan wypłata? Jakiej miłości? małżeństwo nie jest wymyślone do miłości.

Obowiązek jest pierwszym obowiązkiem małżeństwa.

PAN EUGENIUSZ.

Tak, pani dobrodziko, ja wiem i w zupełności podzielam zdanie pani dobrodziki, która dzierży w swoich rękach...

AMELIA.

Co panu się śni, co ja dzierzę...

PAN EUGENIUSZ.

Dzierżysz, pani dobrodziko, dzierżysz szczęście mojego życia.

AMELIA.

Co pan wyplata?

PAN EUGENIUSZ.

Bo ja... bo ja od 3 lat kocham pannę Anetkę i proszę panią dobrodzikę po formie i tego... i bardzo jestem wzruszony... o... o... o rękę panny Anetki.

AMELIA.

Co takiego?

PAN EUGENIUSZ.

Tak.

(Amelia milczy chwilę ośłupiała, pan Eugeniusz stoi przerażony tem co powiedział. Widząc jej groźną pozycję—chce wyjść).

AMELIA.

Proszę, proszę niech pan siada... Zanim odpowiem, muszę zadać kilka pytań. *(Pan Eugeniusz siada na brzeжку krzesła).*

AMELIA.

Ile ma pan lat?

PAN EUGENIUSZ.

Lat? ja?... ja mam lat czterdzieści... je...
...den.

AMELIA.

Nieprawda—ma pan lat 45...
Ma pan w rodzinie jakie koligacye?

PAN EUGENIUSZ.

Koli... koligacye?... owszem, to jest wszyscy byli uczciwi i tego... i dobrzy mężowie.

AMELIA.

To nie są koligacye... Niech pan oczu nie mydli...

U nas w rodzinie mój panie moja rodonna babcia cioteczna panna Pieprzkiewiczówna wyszła w roku 1876 za hrabiego Głownickiego herbu Lufa z 10 pałkami—więc w dziecku mojem płynie krew błękitna...

Pozatem, co pan zarabia miesięcznie?...

PAN EUGENIUSZ.

Miesięcznie? do... do... 60 rubli.

AMELIA.

Nieprawda, zarabia pan 45 stałej pensyi i jakieś marne obgryzki, których się nie liczy i za to pan chce utrzymać żonę...

PAN EUGENIUSZ.

Mam ogródek koło domu...

AMELIA.

Ze sparciałą rzodkiewką...

PAN EUGENIUSZ.

I staram się o awans...

AMELIA.

Z podwyżką dziesięciorublową — wiem o tem...

Jest pan brzydki, chudy.

PAN EUGENIUSZ.

Schudłem ostatnimi czasy, bo się martwiłem...

AMELIA.

Moja dziecina ma lat (*zahaczyła się*) 20... jest piękna, rozumna, wykształcona, gra ślicznie na fortepianie, miała śpiewać w zeszłym roku na osamotnione wdowy, tylko koncert nie doszedł do skutku, kształciliśmy ją wyso-ko, co kosztowało bająnskie sumy, a jeśli do-tąd mimoto nie wyszła za mąż, to dlatego że dziecko jest wybredne i chociaż już miała te-go i owego, który się kręcił, dała rekuzę.

Jeden architekta to chciał się rozwieść z żoną i sześciorgiem dzieci dla Anetki.

Więc przepraszam, że zapytam co pana ośmieliło do podobnego kroku?

Kto pana upoważnił do podniesienia oczu na moje dziecko?

Z czem pan przyszedł?

(Pan Eugeniusz milczy ze spuszczoną głową).

Pozatem wszystkim objaśniam pana, że córka moja ma narzeczonego, który dziś przyjeżdża i zabraniam panu choćby myśleć o takim mezaliansie. Rozumie pan?

(Wchodzi ciocia Klimcia).

No moja droga ja cię już pożegnam—po-
ciąg zaraz odchodzi, tu są klucze od spiżarni—
tu od ogrodu — tu są ostatnie jaja dziś znie-
sione, schowaj, bo Agata kradnie. Do sosu
trzeba jeszcze dodać kilka pomidorów... stół
nakryty.

*(Panie rozmawiają ostentacyjnie odwrócone ple-
cami—pan Eugeniusz wychodzi cichutko, ukło-
niwszy się, czego nie dostrzeżono).*

AMELIA.

Widziałaś tę bezczelność, taka telegrafi-
ścina śmie sięgać po moją krew...

CIOCIA KLIMCIA.

No, w braku laku, byle miał lepszą po-
sadę, musisz pamiętać o 4 dorastających cór-
kach...

AMELIA.

Właśnie, trzeba się trzymać. Powiedziałam mu o narzeczonym Anetki, rozpowie się, że go przepędziłam, zawsze to dziewczynę podniesie w oczach świata, że odrzuca partye...

Czy on aby ten twój protegowany dziś nie zrobi zawodu, miał przyjechać onegdaj.—

CIOCIA KLIMCIA.

Ale skąd—chłopak pewny—mam świetne informacye, znałam jego nieboszczkę matkę, święta kobieta, a co do tego opóźnienia to przecie wytłómaczył się w telegramie, że ważne powody są przyczyną opóźnienia, że bezwarunkowo dziś przyjeżdża.

Więc bądź spokojna, już ja jestem pewna, że wszystko pójdzie dobrze, tylko przypilnujcie Anetę. No, bądź zdrowa, a piszcie jak tam sprawy stoją.

(Wpada) NIUŃCIA.

Ciociu pociąg nadjeżdża.

CIOCIA KLIMCIA.

Dowidzenia, dowidzenia *(pożegnania)*.
A piszcie!...

(Wychodzą).

AMELIA *(woła)*:

Chodź tu Antek!...

(Antek wpada z rondlem, który czyści).

Uważaj gapiu co mówię, żebyś mi to co

do jotki wypełnił. Czekał tu chwilę (*wychodzi do sąsiedniego pokoju—wraca*).

Masz tu stare pana spodnie trochę za-
szerokie to zaszyj w pasie—masz tu grzebień,
uczesz łeb—masz tu oliwę we flaszczyce, po-
smarujesz włosy, żeby się świeciły—a tu masz
biały krawat i białe pana rękawiczki, dziury
zaszyjesz — i będziesz codziennie do obiadu,
rozumiesz, ubierał się w to...

Goń zaraz, rzuć te rondle, żebyś mi du-
chem był ubrany, bo młody pan przyjeżdża...
no teraz śpiesz się...

(*Antek zachwycony wychodzi, Amelia woła*):

Anetka do fortepianu! przeciwicz kawałki,
żebyś się nie zahaczała, ja idę kończyć toale-
tę... (*wychodzi*).

(*Anetka siada, zaczyna strasznie rzępolić „Dziew-
czę z buzią jak malina”*).

(*Chwila—nagle słychać huknięcie nogą w drzwi
raz, drugi, trzeci*).

GŁOS PANA TYTUSA.

No, prędzej tam, otworzyć!

(*Anetka przerażona biegnie otworzyć. Przez
drzwi wtłacza się pijaniuteńki pan Tytus*).

PAN TYTUS.

Coto nie słyszycie, że pan idzie? pukam
i pukam, a tu jakby powymierali.

ANETKA.

Tatuńciu...

PAN TYTUS.

Cicho mi tu bądź, żadne takie, nie jestem twoim tatuńciem, zmoro marynowana... śniadania nie mam we własnym domu, a tu jakieś takie poufałości.

ANETKA.

Proszę tatki, mama prosiła.

PAN TYTUS.

Cicho bądź! żadnej mamy tu niema, wszystko ma swoje granice... ja jestem mama, ja jestem tata, ja jestem oś i sprężyna, koło której obraca się wasze marne... *(czka)*.

Daj mi wody *(chce sięgnąć na krzesło, nie trafił, przewraca się)*.

Wody, mówię wrono oskubana, co? może i wody niema dla ojca rodziny, tak, jak nie było śniadania...

(Ściąga serwetę ze stołu, rzucając ją w przerażoną Anetę, tłucze się lampa stojąca na stole, przykryta abażurem, Aneta z krzykiem ucieka — pochwili wpada w halce i gorsecie pani).

AMELIA.

Co się tu dzieje?

TYTUS.

Precz z moich oczu! Dzieje się to, że nareszcie poczułem się panem tego domu, ja, człowiek, który po 30 latach małżeńskiego pożycia nie dostał we własnym domu śniadania, nareszcie zrozumiałem moje położenie socjalistyczne.

Ten kufelek piwa wypity w bufecie otwo-
rzył mi oczy...

AMELIA.

A ty pijaku, toś ty się upił...

TYTUS.

Wytrzeźwiałem... rozjaśniło mi się w móz-
gownicy... ale ty zagłupia, żeby to rozumieć...

AMELIA.

Co on porobił... Antek! Antek! Antek!
chodźże prędko...

(Antek wpada—dopina spodnie).

sprzątajże to, a prędko.

Boże miłosierny... jak tu wygląda... ach,
ty wyrodku, w takim dniu upić się...

TYTUS.

Cicho bądź! stara antylopo. Ja tu pan!
Walek, połóż to, ja rzuciłem, niech leży—tak
mi się podobało—pan domu jestem.

AMELIA.

Wszyscy święci patronowie chrońcie przed
nagłą śmiercią...

Aneta, wołaj Stanisławowej, niech tu
sprząta a teraz Antek bierz pana za nogi, ja
za łeb, jazda!

*(chwytają krzyczącego pana Tytusa i przenoszą
przemocą. Aneta z załamanymi rękami stoi na
pobojowisku. Wchodzi Stanisławowa zaczyna
sprzątać—zbiera szkło).*

Zgroza Boska o pomstę wołającego... był dom chrześcijański i pokornego serca, aż ci jakieś breweryje.

Taka lampa w kawałki... trza odmówić litanię do Przemienienia Pańskiego... albo co...

(Sygnał gwałtowny—gwizd. Pociąg wpada na stacyę wraz z nim do pokoju Amelia).

AMELIA.

Antek! Antek! Pociąg! przyjechał pociąg, lećże mi po młodego pana, bo nie trafi... Feluś! Feluś nie dłużej w nosie... no prędzej... idźcież. Boże... moja bluzka... dopnijcie.

Skaranie Pańskie... zamknęłam pijaka na klucz w alkowie... taki wstyd...

(Wbiega służący ze stacyi).

Ja do pana zawiadowcy — sygnał niedawny, nioprzełożona zwrotnica, pociąg wjechał na stojące wagony, o mało się nie wykoleił... gdzie pan zawiadowca...

AMELIA.

Niema—chory.

SŁUŻĄCY.

Jakże? potrzebny — nieszczęście — pociąg uratowany, ale Dominikowi nogę urwało... Skandal straszny. —

AMELIA.

Pan chory.



SŁUŻĄCY.

Kiedy go widziałem.

AMELIA.

Leży—nie wyjdzie...

SŁUŻĄCY.

Jakże nie wyjdzie — stacyę zamknąć czy
co...

AMELIA.

Nie wyjdzie mówię—to chamstwo tak się
rozwydrzyło, że o głupią nogę robią historję
Powiedzieć pomocnikowi...

SŁUŻĄCY.

Ale — ładne tu się zaczynają porządki..
(wychodzi).

*(Pani Amelia dopina gwałtownie spódnice —
drzwi się otwierają Feliś wprowadza tryumfal-
nie młodego przystojnego bruneta — za nimi
Antek z walizką, w białych rękawiczkach).*

Pani, pozwoli, że się przedstawię jestem
Kazimierziński...

AMELIA.

Bardzo mi przyjemnie (ściska podaną rę-
kę) mój synek, do przygotowania którego fa-
tygowaliśmy pana profesora do nas... moja
córeczka Anetka... (powitania)

Felisiu, dziecino droga—zaprowadź pana
profesora do jego pokoju—pan pewnie zechce
wypocząć—za kwadransik obiadek...

KAZIMIERZ.

Dziękuję — nie jestem zmęczony — 8 godzin to drobiazg, tylko jeśli wolno ręcebyś umył.

AMELIA.

Ależ naturalnie — Feliś zaprowadź pana profesora...

(Pan Kazimierz kłania się paniom wychodzi z Felisem).

ANETKA.

Bardzo przystojny...

AMELIA.

A widzisz, nietylko przystojny ale jaki elegancki, jaki grzeczny, a jaki musi być zdrowy, powiada, że ośm godzin drogi go nie zmęczyło, inny niż te terażniejsze wymoczki.—

No widzisz, podziękuj matce, że z zaparciem się siebie taki ci skarb do domu sprowadziła.

(Wpada Feliś).

Mamo mydła, mydła niema...

AMELIA.

Ach, Boże... w tym piekle zapomniałam... tam na oknie u Anetki leżą dwa pachnące mydła, zabierz obydwie i flakon perfum też zanieś panu profesorowi...

(Feliś wychodzi).

ANETKA.

To mój flakon od cioci...



AMELIA.

Nie wiesz to, że gość w dom, Bóg w dom, jeszcze taka ostatnia deska ratunku.—

Bądź rozmowna, nie taka gęsiowata, włosy popraw z tej strony. Jak siadasz, uważaj, żeby się suknia nie zmięła... będzie do wieczora jak psu z gardła.

Pamiętaj, że szczęście swoje zależy od twego zachowania i rozumu... Uszczęśliwisz nie tylko siebie, boś już stara panna, ale rodziców i siostry, na które kolej idzie i którym trzeba miejsca ustąpić...

Siadźże do fortepianu, niech cię zastanie przy muzyce...

(Wracają Feliś i Kazimierz).

KAZIMIERZ.

Przepraszam panie, że zrobiłem kłopot zaraz na wstępie, okazuje się, że zostawiłem mydło w wagonie...

AMELIA.

To tylko nasza wina, żeśmy nie pamiętały o tak ważnej rzeczy... Anetka zajęta ciągle książkami i muzyką zapomniała widocznie. Jakże się panu udała podróż?

KAZIMIERZ.

Wyśmienicie — najmocniej przepraszam, że nie przyjechałem onegdaj, jak to było omówione, ale wstrzymały mnie ważne sprawy rodzinne. —

44832/21882 AMELIA.

Cóż takiego, jeśli wolno wiedzieć.

KAZIMIERZ.

Właśnie ożeniłem się i dlatego...

AMELIA.

Kiedy?...

KAZIMIERZ.

Onegdaj...

AMELIA.

Co?? Oh! Oh! precz precz! weźcie z przed
moich oczu tego łajdaka! *(pada zemdlona)*.

KURTYNA.



KK